

Liberałowie i cykliści

Nowa premiera Mikołaja Grabowskiego to próba współczesnego moralitetu. Choć dziś do nieba przemycą się grzeszników, a piekło strajkuje, spektakl nie grzeszy inscenizacyjną finezją

Napisany w 1958 roku „Biedermann i podpalacze” to sztuka o zagrożeniach demokracji. W mieście rośnie lawinowo liczba podpalców, za które odpowiedzialni są osobnicy poruszający się na dwóch zardzewiałych rowerach. Mimo to bohater Frischa, stateczny i dobrze sytuowany producent z branży kosmetycznej, tytułowy Biedermann (Mariusz Wojciechowski), przyjmuje pod swój dach dwóch domokrażców – eks-athlete Schmitza (Maciej Jackowski) i ekskelnera Eiseringa (Zbigniew Ruciński). Panowie zamieszkują na strychu kamienicy, dość szybko zamieniając go w skład łatwo palnych materiałów (benzyna, pakuły) i nie kryjąc wcale swych zamiarów, szykują już lont i spłonkę.

Jednak osią konstrukcyjną swego dramatu czyni Max Frisch nie detaliczny opis haniebnego procederu podpalaczy, ale reakcje właściciela domu – Biedermann – na zagrażające mu niebezpieczeństwo. Cóż robi Biedermann? Czy wyrzuca ich z domu i wzywa policję? Skądże, bohater zaprasza podpalaczy na obiad (pieczona gęś z brytfanny, wino), wypija z nimi bruderszaft, po czym – mimo początkowych oporów – wręcza im bez większych ceregieli pudełko zapalek.

Max Frisch, pisząc przed laty ów dydaktyczny dramat, myślał o tolerowanym w demokracji, a w końcu przynoszącym jej zgubę faszyzmie. W najgłośniejszej polskiej realizacji „Biedermann...”, wyreżyserowanej przez Erwina Axera w Teatrze Współczesnym w 1959 roku, również chodziło o faszyzm i inne pełzające ekstremizmy, choć zapewne wielu widzów odbierało metaforyczną warstwę sztuki jako ostrzeżenie przed komunizmem. O czym to jest dzisiaj? Ano o liberalizmie. Zwłaszcza w sferze wartości.

Reżyser krakowskiego przedstawienia Mikołaj Grabowski zdecydował się uzupełnić dramat o traktowany rzadko jako integralną część sztuki epilog dopisany przez Frischa kilka lat po prapremierze „Biedermann”. Akcja epilogu rozgrywa się w piekle, Biedermann i jego żona zginęli w pożarze, a teraz czekają na bilans swego życia, wyrok, czy byli „dobrymi ludźmi”.

Wbrew stylistyce swoich ostatnich przedstawień Mikołaj Grabowski nie aktualizuje Frischa, nie interesuje go to, kim mogą być dzisiaj podpalacze. Czytając „Biedermann” przez finał w piekle interesuje go głównie światopogląd i etyka bohatera. Jego współczesny „Každy” jest lemi. nie grzeszy bardziej niż inni i nie chce być zbawiony, ale mieć wreszcie święty spokój. Grabowski próbuje wydobyc i ośmieszyć życiowy konformizm i nowoczesne myślenie o wolności posunięte do ostatecznych granic. Biedermann woła wręcz: „Ja mam prawo nic nie myśleć!”. W „liberalnym” świecie Grabowskiego wszyscy kłamią i oszukują do tego stopnia, że najniebezpieczniejsi są właśnie szczerzy przestępcy. Nikt im nie wierzy, nikt nie bierze poważnie, dlatego mogą działać bezkarnie.

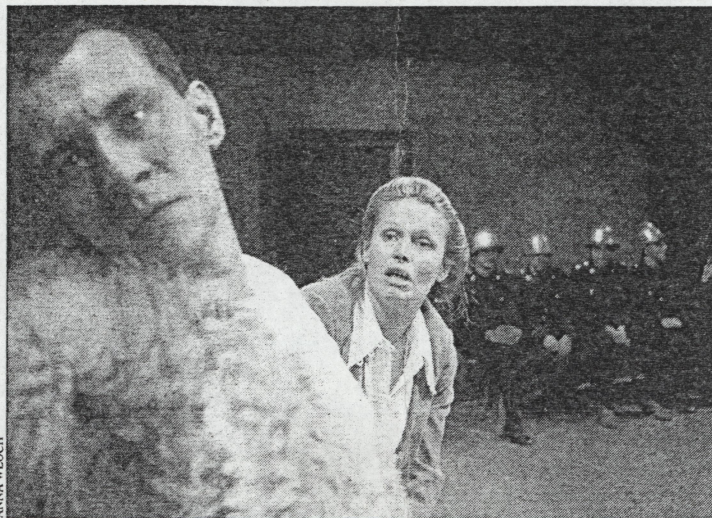
Na scenie niby wszystko w porządku – tekst przemyślany, utrzymana konsekwencja inscenizacyjna, w zasadzie poprawne role aktorów, ale próżno szukać w „Biedermannie i podpalaczach” klimatu arcydzieła, a czasem jest w nim nawet potwornie nudno.

Wydaje się, że pewnych scen teatr Grabowskiego nie udźwignie. Albowiem Grabowski opiera zwykle swój teatr na szarży i dosadności, „waleniu po polskich pyskach”. A tu się tak nie da, przynajmniej pierwsza część sztuki Frischa musi być kreślona finezyjną psychologiczną kreską. Toteż temperaturę typowego teatru Grabowskiego mają tylko sceny obiadu na część Eiseringa

i Schmitza, w których dochodzi do głosu zdolność reżysera do połączenia groteski i rodzajowości. Grabowski jest sobą, kiedy inscenizuje chóralne odśpiewanie wulgarnej piosenki o kasztanach, wypadających gąsiom wiadomym otworem, i sekwencję, w której Schmitz udaje ducha, a kulturalni państwo Biedermann – bywalcy festiwalu teatralnego w Salzburgu – zastanawiają się, w jakim spektaklu to widzieli. W pozostałych fragmentach jest znacznie gorzej.

Epilog, który posłużył za pretekst do sięgnięcia na nowo po Frischa, okazuje się właściwie niepotrzebny, skeczowy i płaski, nawet o klasę lub dwie gorszy od reszty spektaklu. W dodatku zdecydowanie gorzej grają w nim, zasługujący dotąd na pochwały, aktorzy Maciej Jackowski i Zbigniew Ruciński.

Najciekawiej wypada dobra, bo funkcjonalna scenografia Tyszkiewicz. Scena przedstawia pokój z ruchomą ścianą, która, przesunięta przez Strażaków, odsłania wnętrze strysku zapełnionego beczkami z benzyną. A także importowany z greckiego dramatu chór Strażaków (jakby personifikacja sumienia bohatera), który jest równocześnie groteskowym domownikiem Biedermannów. Ten kapitalny chór (Andrzej Kierc, Piotr Grabowski, Błażej Peszek, Błażej Wójcik) skanduje swoje parodystyczne kwestie w różnych tempach i tonacjach, nikogo nie dziwi jego obecność w mieszczańskim salonie: Mariusz Wojciechowski, jego żona czy Schmitz kłaniają im się na dzień dobry. Strażacy pilnie śledzą kontakty Biedermann z podpalaczami,



Scena ze spektaklu „Biedermann i podpalacze”

mi, nawołując do czujności, sami przejawiając jednak absolutny brak zorganizowania i inercję.

Nie jest tajemnicą, że miał ten spektakl w Słowackim robić kto inny, dopiero kilka miesięcy temu Mikołaj Grabowski zmuszony był przejąć go i ukończyć. Chyba niepotrzebnie, choć zdawałoby się, że to temat dla niego. W efekcie realizacja Grabowskiego jest

jednak reżyserską porażką, brak jej lekkości, dowcipu i przewrotności. W finale przedstawienia zmienia się w szampowe, mentorskie, excusez le mot, gładzenie.

ŁUKASZ DREWNIAK

Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie,
Max Frisch „Biedermann i podpalacze”,
reżyseria: Mikołaj Grabowski.
Premiera: 10 października 1997